



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

KSZPĘDYOXA GŁOWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spółn. kwartał. 5 marek.

UCZCZENIE ZASŁUGI.

Ludziom zasłużonym cześć oddawać jest powinnością społeczeństwa a zarazem potrzebą, bo bo stawia się wtedy przed oczyma ogółu te wzory cnoty i pracy dla dobra powszechnego, które uszlachetniają i podnoszą nam serca w łonie. Taką też uroczystością był obchód pięćdziesięcioletniej pracy D-ra Jurkiewicza, byłego dziekana fakultetu filozoficzno-przyrodniczego w uniwersytecie warszawskim, a poprzednio w Szkole Głównej, obecnie prezesa Towarzystwa ogrodniczego — akt czci ogółu, złożony pracy wytrwałej i dążnościom zacnym. Odbył się on w siedzibie Towarzystwa, w Bagateli, z godnością poważną; wice-prezes Tow. Ogrodniczego, p. Edmund Janowski, oraz prezes Tow. Farmaceutycznego Henryk Klawe, przybyli w południe do jubilata, na którego przyjęcie schody, widzące do miejsca zgromadzenia, były wybite dywanem, ozdobione wdzięcznie kwieciami i zielonością, a zastał on tu, obok członków zarządu Towarzystwa, delegatów Tow. Dobroczynności, której to instytucji jest też członkiem jako prezes wydziału sierot, a tak szlachetnie, tak zacnie czynnym, że powziętym został zamiar, aby przyznano mu tytuł *ojca sierot*. Obok tego sprawuje on jeszcze urząd członka Rady miejskiej dobroczynności publicznej, biorąc tu udział niemałego znaczenia w zarządzie szpitali oraz przytułków dobroczynnych.

Uczony geolog i mineralog pracuje on zarazem i w piśmienictwie; przetłómaczył na nasz język Tyndalla „Woda, jej kształty oraz przemiany“, Cahoursa „Kurs chemii nieorganicznej“, Agassisa „Plan stworzenia“, Jacoliota „Tajemnice stworzenia“ i wiele innych, a wykończy przekład

„Geografii powszechnej“. Przez lat wiele redagował pożyteczne czasopismo „Przyroda i przemysł“, w którym pisał kronikę naukową, a pracę na tem polu rozpoczął bardzo młodo; w 1864 r. pisywał w *Przeglądzie naukowym*, prowadzonym przez Skimborowicza, później zamieszczał w *Tygodniku Lekarskim* i innych piśmiach peryodycznych artykuły rozmaitej treści: „Lavoisier i znaczenie jego prac dla chemii“, „Grenlandya“, „Podróż Nordenskiöld“, „Przedhistoryczny las dębowy“, a obok tych dzieł oryginalnych przekładał dużo dzieł naukowych z różnych języków; przez pewien czas był redaktorem naukowego tygodnika „Wszechświat“ — i powiedzieć można, że pracował na wszystkich niemal polach pracy umysłowej.

Wieczorem zebrano się w sali „Resursy kupieckiej“ około 220 osób, pragnących wyrazić jubilatowi cześć swoją dla jego wielostronnej a zawsze ze względem na dobro ogółu podejmowanej pracy. Byli tu przedstawiciele wszystkich działów inteligencji naszej, a przemowy, kolejno wygłaszane, wykazywały zasługi, których różnorodność zadziwiać mogła. Pierwszym z kolei był tu D-r Wszebor, który wygłosił dzieje tego pracującego, pożytecznego życia zacnego człowieka; potem wystąpiła delegacja Towarzystwa Ogrodniczego, którą tworzyli p. p. Adam Pług, Józef Kaczyński i Teodor Paprocki, wręczyła mu adres od członków Towarzystwa wraz z wieńcem srebrnym, który podał mu p. Józef Kaczyński, nakoniec Pług wypowiedział piękny wiersz, obejmujący moralną biografią szlachetnego człowieka, w której wykazał uczucia i myśli wszystkich, znających to życie poświęconej pracy na polach tak rozmaitych, że zdają się stawać sobie w poprzek. Łaknął on wiedzy dlatego, że kochał ludzi, którym niósł pomoc, jaką daje umysł rozjaśniony i zdolny objąć szerokie pole ich pracy, ich obowiązków, jak to pięknie wyraził Pług (Antoni Pietkiewicz).

Pół wieku... czyliż jeden, co ledwie lat tyle
Od urodzin swych przeżył, już upadł na sile
Równie ducha, jak ciała, choć jak przedza złota,
Bez trosk mu się i trudów snuły dni żywota?
A ty, nasz najzacniejszy, drogi jubilacie,
Choć niejednen krzyż ciężki Stwórca włożył na cie,
Choć praca od dzieciństwa udział twój stanowi,
Choć nią już od pół wieku służysz ogółowi,
Jednakże nie złamany bólem, ni mozołem
Trwasz na swem stanowisku z podniesionem
[czołem,
Zawsze gotów do czynu, gdzie sprawa poczciwa,
I tylko śledzisz, słuchasz, czy cie kto nie zwy-
[wa,
Byś nowe jakie brzemień wziął na swe ramiona
I zdziałał, czego nieraz młody nie dokona...

Wiersz ten, szlachetnie przedstawiający żywotność człowieka z umysłem wyższym a z sercem gorącym, zakończył się wyrazem uznania, jakim ogół cały wypłaca się zasłużonemu mężowi za jego pracę, za kierunki tej pracy poczciwe, i poeta pisze:

O, ileż od pół wieku do obecnej chwili
Owoców pracy twojej ludzie już spożyli!
Słusznie więc dziś tak liczna rzesza twych współ-
[braci,
Czcia serdeczną twe trudy i zasługi płaci,
Słusznie wieniec wawrzynu na czoło ci splota
I woła z całej duszy: żyj nam w długie lata...

Jubilat dziękował wzruszony a odzywały się z kolei inne głosy. Prof. Znatowicz nazwał jubilata „mistrzem, poetą, apostołem przyrody“, p. Konopczyński przemawiał w imieniu Towarzystwa

Dobroczynności. Chmielowski zaznaczył tę nie-malego znaczenia zasługę uczonego męża: styl jego zawsze jest szlachetnie jędrny, w zgodzie z duchem języka. Odzywały się z kolei i inne głosy, podnoszące wielostronne zasługi jubilata, a wszystkie jednoczyły się w tem zgodnie, że obok zasług uczonego zaznaczał się człowiek czujący i myślący szlachetnie, otoczył go też ten szacunek ogółu, który zawsze umie być wdzięcznym takim, jak on, ludziom. Znaczna liczba kobiet znajdowała się też na galerji, a był to hołd, który niewiasta nasza zapragnęła też złożyć tużaj, wykazując, że umie szanować naukę i czczyć zacność.

M. I.

Z bieżącej chwili.

Uroczystość odsłonięcia pomnika wzniesionego dla uczczenia pamięci Fryderyka Szopena w Żelazowej Woli, gdzie się rodził i przeżył lata młode, odbyła się w ubiegłą niedzielę bardzo poważnie i szlachetnie. Pomnik ten, obelisk żelazny, na którym wznosi się popiersie natchnionego mistrza tonów, przybrany był w kwiaty i girlandy zieleni; tło stanowił ogród, którego drzewa złocił jasny blask jesiennego słońca a blisko dwa tysiące osób tworzyło orszak, przejęty czią dla wielkiego a doskonale rodzimego talentu, który się łączył z życiem zacnie, uczciwie spędzonym. O godzinie jedenastej już wszyscy uczestnicy tego zebrańa znaleźli się na miejscu; że przecież akt uroczysty miał się rozpocząć według programu o w pół do pierwszej, więc zebrani rozproszyli się po alejach ogrodu a do fortepianu, którego właściciel obecny Żelazowej Woli, p. Pawłowski, użył łaskawie a który ustawiono pod pamiątkowym swierkiem, gdzie niegdyś Szopen młodzieńcem siadywał, marząc i z melodyj głosów natury zbierając tony do natchnionych swych utworów. Instrument jest stary i był rozstrojony, gdy przecież przyłożył do niego ręce Michałowski i tony „Preludjum“ Szopena popłynęły uroczym w dal pomiędzy drzewa z żółkniejącym już liściem, wrażenie było silne, przenikające. Potem kilku innych mistrzów budziło z kolei echa przeszłości, a wzruszająca była chwila gdy starzec, liczący lat osiemdziesiąt siedem, który niegdyś jako pacholę był towarzyszem dzieciennych zabaw mistrza, Krysiak, stanął, aby słuchać; wzruszenie tkliwe widniało na obliczu sędziwem.

Tony czarownego uroku płynęły w dal, a gdy rozległ się „Marsz żałobny“, wszystkie serca były w piersiach uczuciem niedającym się wyrazić. O godzinie wpół do pierwszej rozpoczął się akt uroczysty. Przybył ksiądz Siennicki, dziekan sochaczewski, sędziwy już, siedemdziesiąt lat liczący, a który znał blisko rodzinę mistrza, oraz ksiądz Zakrzewski, pleban z Trojanowa, do którego parafji należy Wola Żelazowa, wreszcie ks. Bielawski z Brochowa, w którego kościele osiemdziesiąt cztery lat temu otrzymało chrzest dziecko, mające stać się mistrzem znanym przez świat cały. Zabrzmiiała kantata, do której muzykę stworzył Noskowski do słów Andrzeja Niemojewskiego:

Czemu szumisz, Utrato?
Czemu wody zmacone
Ciskasz na brzeg z rozpaczą?
Czy utraciłaś, matko,
Dziecię twoje rodzone
Ze tak głębie tve płaczą?
Utraciłam ja syna,
Rodzone moje dziecę
Utraciłam na wieki
On śpiewał gwar mych głębi
Szum macierzystej rzeki...
Nie płacz, rzeko Utrato,

Ucisz zmacone fale,
Syn twój żyje wśród ludzi,
On zamieszkał w ich sercach,
On tam wtórzy twe żale
I szumy twoje budzi...
Cichnie rzeka Utrata,
Mija wioski szeregi
I ulata z westchnieniem.
Tylko kiedy niekiedy,
Uderzając o brzegi
Szumi syna imieniem...

Gdy ucichły tony pieśni, Zygmunt Noskowski wystąpił przed pomnik i wygłosił przemowę krótką, treściwą a która była jedyną. Liczne głosy ozwały się chórem: „Cześć i sława Fryderykowi Szopenowi!“ dziekan Siennicki odbył akt poświęcenia obelisku, „Lutnia“ odśpiewała preludjum ze słowami: „Leżę wśród obłoków, roztopiony w cieple“, nakoniec chór wykonał przy akompaniamencie orkiestry a pod dyrekcją Münchheimera polonez „As dur“, ze słowami M. Radziszewskiego. Wspaniały ten utwór Szopena brzmiał podniośle i uroczyste a szczególnie silnym był efekt, gdy chór powtórzył dwukrotnie słowa: „Nieśmiertelny, co przemawiasz w chwili tej, dźwiękami pieśni swej“.

Uroczystość zakończyła się tem wezwaniem, które przez całe szeregi lat powtarzanem być może, bo po wszystkie te czasy, w których ludzie będą zdolni wzruszać się przez wrażenia piękna wzniesłego, serca nie przestaną uderzać im w piersi na dźwięk tonów tych czarownych. W dniu, który jest rocznicą śmierci Szopena, Towarzystwo Muzyczne daje wspaniały koncert, zawierający z uzupełnieniem pewnym program uroczystości, odbytej w Żelazowej Woli a zarazem dnia tego odbędzie się w kościele S-go Krzyża uroczyste nabożeństwo żałobne. W dniu odsłonięcia pomnika nadeszła do Towarzystwa Muzycznego znaczna liczba depesz od zagranicznych towarzystw muzycznych, oraz od kompozytorów i muzyków, bo wszędzie, gdzie tylko ludzie cześć umieją w dźwiękach muzyki natchnienie wzniosłe i czyste, cześć dla szlachetnego tego mistrza tonów istnieje będzie.

Zbiegiem okoliczności stało się, iż w dniu tym samym przypadało pięćdziesięciolecie dnia, w którym kompozytor niemiecki zwany królem walców, Straus zosił w Wiedniu dyrektorem orkiestry i obchodzono też tam ten jubileusz jego, ale tu stosunki są zupełnie różne i odmiennie też ukształtował się talent niemieckiego kompozytora. Urodzony w Wiedniu d. 25-go Października 1825 r., od lat najmłodszych karmiony był muzyką, bo ojciec jego był też artystą, kompozytorem i on to pierwszy otrzymał tytuł króla walców, który spadkiem przeszedł na syna.

POGA WĘDKA.

Kto nie widział Warszawy od lat pięciu, nie wyżej, a zawita do niej — ot, dajmy na to, choćby po upływie lat dwóch tylko, napewno zdziwiony stanie wśród jej murów, nie wierząc swoim zmysłom, z których tylko smak i dotykanie żadnej nie będą mogły grać roli, pozostała zaś trójka doświadczy pewnego rodzaju błogostanu.

Przed niedawnymi bardzo laty, bo nawet na ich liczbę jeden dziesiątek się nie złoży, pocziwe nasze miasteczko nie odznaczało się zbyt wielkim porządkiem, czystość była zakwestyonowana, o wygodach dzisiejszych śniło się chyba tym tylko szczęśliwcom, którym nieobce były głównejsze miasta zagranicy.

Jakaż im wówczas przedstawiała się nasza stara Warszawa, gdy porównali z nią schludny Berlin, elegancki Wiedeń, wytworny Paryż? — Nieestetyczne kamienice niemile raziły wzrok przechodnia, turkot powozów po nierównych, lub

powybijanych kamiennych i żelaznych brukach prawdziwą turturą był dla uszu ludzkich, rynsztoki przepelnione ściekami nie dawały wcale przedsmaku arabskich kadzidel. Dzisiaj to wszystko się zmienia, zmienia się z dziwną szybkością nawet, co zawdzięczamy ojeowskiej troskliwości stojących na czele rządów miasta, tak, że jeżeli nie stanie na przeszkodzie ich dobrym zamiarom, po latach dwóch nie zbyt wiele będzie się różniła miasto nadwiślańskie od miast dobrą reputacją cieszących się na zachodzie. Już oko przechodnia z pewnem zajęciem będzie mogło spocząć na frontach gmachów ściskających swojemi ramionami ulice, odróżni style, porówna je między sobą, a gdy się zwróci na place, dojrzy na nich pięknymi liniami rysujące się skwery ozdobione bukiętami kwiatów, wysłane kobiercem zieleni, trawami i krzewami o barwach różnych. Po równych, gładkich ulicach przyjemnie się wzrok potoczy, z tafel betonowych ułożone trotuary, mające wygląd kwadratów posadzki, nie utrudzą stóp już nieczyich; stuk kopyt końskich, turkot wozów i powozów wehłoną w siebie bruki drewniane, zmęczone ucho odpoocznie, a i prowadzący rozmowę nie będą nadużywali swoich głosów, by być słyszany. Po wzroku i słuchu przychodzi kolej i na węch, który dotąd po-macoszemu był traktowany. Podziemne kanały zabiorą to wszystko, co może razić powonienie, towarzystwo ogrodnicze coraz więcej zasadza drzew na ulicach, a i patrzeć tylko, jak nowy park na placu ujazdowskim gościnnie swoje bramy mieszkańcom Warszawy otworzy, przynęci krysztalową taflą jeziora, zadzwoni srebrną smugą fontanny, przywabi cieniem i pięknym rysunkiem kwiatowych klombów. Warszawa się podnosi, rozszerza, wypięknia, życzyć - by tylko należało, ażeby nowy zwrot, jaki nastąpił w architekturze nowo-stawianych domów, nie wpadł w przesadę i w granicę dziwactwa nie wkroczył. Po słusznych nawoływaniach dzienników naszych, zwracających uwagę na jednostajność stylów bez stylu w kamienicach warszawskich, wzięto się do naprawy zła i bardzo wiele powstało nowych domów prawdziwie pięknych, o ornamentyce bogatej, lecz nie raziącej przesadą. Każdy właściciel posesyi, stawiający dom nowy, nietylko dbał już o architektoniczną odrębność swojej siedziby, lecz i o oryginalność. Pod tym względem nastąpił wysięg niemal, który dał nam dwie prześliczne budowle, jak kamienica przy rogu ulicy Wilczej i Marszałkowskiej, i druga przy ulicy Marszałkowskiej, p. Frąckiewicza, do której Lours eukiernią swoją przenosi — w stylu pół-gotyckim, ale zarazem przyniósł i taką pisankę, jak dom na rogu ulicy Instytutowej i Alei Ujazdowskiej, którego wcale ozdobą miasta nazwać nie ośmielimy się. To już nie oryginalność, ale przesada w barwach, także i w całej budowie, jakiś potwór straszny z płetwami u boków wielkiego kadłuba świecący wszystkimi kolorami tęczy, wzbogacony plebejusz chwalaący się swojemi skarbami, które porozwieszał na ścianach na podziw gawiedzi. Tego rodzaju dziwotwór wprost niesmak budzi, który wprawdzie dość dobrze licuje z drugim potworem przy tej ale i stojącym. Przeskok zawielki od zbytniej prostoty dawnych kamienic warszawskich do tego dziwoląga. Wszędzie powinna być miara, bo możemy wpaść w przesadę i popsuć dobrze rozpoczęte dzieło naprawy stylu. Bądźco bądź, Warszawa w bardzo krótkim czasie zmienia się do niepoznania, byleby nie pękały tak szybko, na pozór tak piękne, chodniki betonowe, bo zanim inne wykończone zostaną, potrzeba będzie znów się wziąć do naprawy tych tak niedawno ułożonych. Niema roku, jak powstał skwer nowy na Krakowskim-Przedmieściu naprzeciw pałacu Potockich, obłożony betonową posadzką — a już wszędzie znać rysy i pęknięcia głębokie — nie lepiej dzieje się i w innych miejscach. Rzeczoznawcy powinni zwrócić uwagę, bo czasy Penelopy minęły już dawno.

Ale, choć na chwilę, przejdźmy na pole wyścigów.

Nie lubię tam bywać, nie bywam prawie nigdy, bo ze wszystkich rozrywek najmniej interessu budzi we mnie ta wielkopańska zabawa. Nie będę też wspominał o zwycięzcach i zwyciężonych,

sądząc, że i szanowne czytelniczki „Bluszczu“ pisma, które przeważnie dba o interes rodzin, znajdują coś pożyteczniejszego do roboty w domach swoich, aniżeli drogi czas, który straconej marnie żadnej nie wróci nam chwili — trwonić na błabej rozrywce na polu mokotowskim. Jak się tam działo i co się tam działo, wiem przeważnie z ustnej gawędy sportsmenów, bo nawet w dziennikach pomijam rubrykę traktującą o tym przedmiocie. — Wiem więc, że jakkolwiek babie lato, obdarzyło nas zaledwie kilku dniami ciepłymi, lecz że nie było płacziwe, zabawa udała się dobrze; panie pokazały się w nowych jesiennych kapeluszach i strojach, wiemy na czem polega wyraz ostatniej mody; dowiedzieliśmy się również, że totalizator, jak zawsze, ścigał nie mało ludzi, szukających w ślepej fortunie szczęścia, ale dowiedzieliśmy się także o pewnej nowości, której milczeniem pominąć nie możemy.

Towarzystwo wyścigów konnych widocznie zauważyło, że jeden totalizator nie wystarcza. Znaczna liczba publiczności, uczęszczająca wprawdzie na wyścigi, ale niemogąca poczesnego miejsca zająć w rzędzie tych szczęśliwców, którzy dużymi stawkami na „Oryona“ lub „Armię“ ślepy los kuszą — musi tylko zadowolnić się lykanieniem ślinki i tłumionymi westchnieniami. Fortuna ma oczy przepaską zawiązane i pominęła ich w podziale swych darów, lecz, że miłosierdzie jest rzeczą, świętą, Towarzystwo wyścigów konnych ulitowało się doli owych biedaków i gwoli spełnieniu ich tajonych życzeń urządziło drugi, tak zwany francuzki totalizator. Tam już dostęp jest łatwiejszy a i zgranie się dostępnejsze, bo jeżeli wygórowane stawki w pierwszym totalizatorze powstrzymywały niejednego od hazardu, ten drugi nie jest już tak odstraszący i rublowa publiczność może śmiało na bystrą ruszać wodę. Nie wątpimy, że znajdzie się bardzo wielu, którzy nie omieszkają skorzystać z tego dogodnienia, ale wątpimy, czy stawianie pułapki na słabość natury ludzkiej jest rzeczą zupełnie godziwą? Zostańcie panowie, przy jednym totalizatorze i skupcie się, jeżeli was stać choć na to, szczególnie koło okienka, nie dopuszczając rozwieleniu się zła tego na szersze masy. Dla was to jest igraszka, ale tamtym o życie iść może.

Och, jak pusto dokoła!

Daremnie ciekawie się ogląda na prawo i lewo, chcąc jakąś nowinkę z bruku miejskiego uchwycić — glucho wszędzie, pusto wszędzie!.. Prawda, że Warszawie przybyły nowe słupki do ogłoszeń z misternymi daszkami i trąbkami u góry, ale żeby w czemkolwiek bądź przyczyniły się do estetyczniejszego wyglądu miasta, tego nie powiemy. Tymczasem dają się słyszeć głosy o pewnej już niewygodzie ztąd wynikłej. Brak kolporteryi ulicznej do sprzedaży gazet i dzienników, zastąpiły w mieście naszym kioski, których 24 ustawiono w różnych punktach miasta, a że można składać w nich i prenumeratę, są one rzeczywiście wygodą mieszkańców. Kioski owe z siedzzącymi w nich buziakami już od lat blisko dwudziestu znajdują się na ulicach Warszawy, publiczność się do nich przyzwyczaiła, a długoletni ich żywot, wskazuje, że nie są rzeczą zbyteczną. Tymczasem przedsiębiorca słupków ogłoszeniowych żądał usunięcia siedmiu kiosków i to z rogów najpryncypalniejszych ulic — i żądanie to ma być uskutecznione. Mniejsza już, że na tem straci wygodą publiczności, ale gdzie się na razie podzieją owe buziaki, które z uśmiechem, przez otwarte okienko podawały ci kąśliwą „Muche“ i zapisywały cię na listę prenumeratorów tego a tego pisma? — Jesień chłodna, zima za drzwiami, a o chleb tak trudno ludziom biednym. Pytamy więc, czy ze względu czytelników i głodne te usta — zarząd miejski nie pogodzi jednego z drugim, ażeby zadość uczynić i żądaniu przedsiębiorcy słupów i liczby kiosków nie zmniejszyć.

Do nowin niemałej doniosłości należy wystawa higieniczna, która ostatecznie urządzoną będzie na placu miejskim między ulicami Koszykową, Topolową, Nowomińską i Polną. Przestrzeń to duża, bo obejmnie przeszło 200.000 łokci kwadratowych, w przyszłości zaś ma być oddana pod

plantacye miejskie. Że przyszła wystawa będzie się znajdowała dość daleko od śródmieścia, jest więc projekt połączenia jej z ulicą Marszałkowską koleją elektryczną. Nowość ta wpłynie bezwątpienia na powodzenie wystawy, bo, choćby dla ciekawości jazdy elektrycznym tramwajem, posunie się ludek warszawski gwaro a tłumnie.

Coraz więcej znajduje się u nas weteranów pracy ucziwej i zasług pożytecznych, którym wdzięczne społeczeństwo należny hołd oddaje. Do takich pracowników należy prof. Jurkiewicz, do takich hołdów uczta na jego cześć wydana w resursie kupieckiej, gdzie zgromadziło się przeszło osób trzysta. Sala była przybrana bardzo efektownie, galerye udrapowane żywymi wieńcami główek kobiecych. Serdeczny nastrój przyjęcia czcigodnego jubilata wylał się w szeregu mów wygłaszanych. D-r Wszebor powitał wchodzącego, poczem p. p. Adam Pług, J. Kaczyński i F. Paprocki wręczyli profesorowi wieniec i adres. Pierwszy toast, przy stole biesiadnym, wniósł w imieniu przyrodników p. Znatowicz, następnie mówił E. Jankowski, potem przemawiali p. p. Kuśmierski od farmaceutów, E. Konopczyński od Towarzystwa Dobroczynności, prof. D-r Baranowski od kolegów-profesorów uniwersytetu, D-r Trzeński od uczniów, Piotr Chmielowski i inni. Następnie odczytano telegramy, jakie z życzeniami nadeszły.

Uczta przeciągnęła się dopóźna, trwałe zostawiając wspomnienie po sobie.

Do ciekawych wiadomości z chwili bieżącej należy założenie nowego zakładu przemysłowego przy ulicy Przyokopowej przez pannę Ludwikę Zaleską. Studya techniczne odbywała panna Ludwika zagranicą, z kąd powróciwszy doskonale obeznana ze swoim przedmiotem, otworzyła pierwszą w kraju blicharnię i farbiarnię słomy kapeluszonej i koszykarskiej. „Celem założenia fabryki — czytamy w jednym dzienniku — jest nadawanie plecionkom słomianym tego stopnia białości, mocy i sprężystości z zachowaniem naturalnego połysku, bez których słoma uprawiana w naszym klimacie niema żadnego zastosowania prawie w przemyśle kapelusznym-koszykarskim i zawsze ulega współzawodnictwu słomy sprowadzonej w olbrzymiej ilości z Saxonii, Szwajcaryi, Włoch lub przez Hamburg z Chin. Dotychczas blicharnie takie istniały tylko w Dreźnie, z kąd nasi rzemieślnicy zaopatrywali się w przednie gatunki plecionek, nowo-założona zaś blicharnia w Warszawie została wzorowaną na jednej z dreźnieńskiej“.

Tak więc kobiecie zawdzięczamy jeden krok naprzód na drodze przemysłu krajowego, nie szczędzimy jej zachęty i wytrwałości, jak równie wierzymy, że ogół poprze szlachetne usiłowania nowatorki.

Z nadeszłą jesienią, z powoli przybliżającą się zimą, zaczyna się rozbudzać ruch księgarsko-wydawniczy, ażeby, gdy śnieg pokryje ziemię, mroz zamaluje nam okna, gdy słońce wczesnie do snu głowę układa pocznie a późno przecierać ze snu powieki — ażebyśmy mieli czem długie wieczory zapełnić, nie naśladowując Częstochowian, którzy, według korespondencji do jednego z pism naszych podanej, nie wiedzą sami, co będą z czasem robili. To pytanie rzuca nawet inteligentniejsza młodzież i jakkolwiek napozór dość dziwne się wydaje, ma w sobie pewną dozę rzetelnego smutku, bo zadane zostało ze względu na źle ułożone stosunki jasnogórskiego miasteczka. Albo brak jest tam odpowiedniego towarzystwa, albo towarzyskiej łączności. Na tej ostatniej, według relacji ze stron różnych, niejedno prowincjonalne miasto Królestwa cierpi. Nie więc dziwnego, że wytwarza się podobne pytanie, na które częstokroć niedobra odpowiedź wypada. Pożyteczną jest książka, konieczną nawet, ale ona nie może całego czasu pochłoniąć: — umysły młode potrzebują rozrywki, wymiany wspólnych myśli, podziału uczuć — jeśli tego niema, wytwarza się niesmak, nuda, która bądź co bądź musi być czemkolwiek zabita. Jedynym wtedy lekarstwem zostają karty. Prawda, że to lekarstwo działa szko-

dliwie jak opium, morfina, słowem każdy narkotyk — lecz iluż to mamy opiumistów i morfistów podobnych! Nie należy jednak do tych powoli trujących uciekać się środków i rozpaczliwie ręk opuszczać. Komu a komu, to nam nie wolno pogrążyć się w apaty, lecz wszelkimi siłami walczyć przeciw tej senności, rozbudzać życie, wytwarzać ruch. A któż tego dokona, jeżeli nie młodość? Ona tylko ma siłę do naprawienia złych towarzyskich stosunków, do wiania życia w znużone czy zniechęcone serca. Rzuciwszy więc pytanie: co robić? niech się weźmie do dzieła z zapalem i dobrym przykładem pociągnie za sobą nieumiejących żyć jak należy. Rzeczywiście, że zgromadzenia towarzyskie, z banalnością rozmów swoich, kończących się częstokroć na niby niewinnych ploteczkach, które niezawsze między czterema ścianami domu zostają, nie przyczyniają się do zachowania dobrych stosunków, lecz przeciwnie, wytwarzają kwasy, gniewy i tym sposobem wzajemna niechęć wzrasta. Każde takie towarzyskie zebranie powinno mieć szlachetniejszy cel na względzie, którym ma być nie co innego, jak, choćby w najmniejszych granicach rozprzestrzenianie wiadomości, sięganie dalej nieco myślą niż za koniec swojego noska, zdobycie czegoś dla umysłu i serca. Tej pustce zaradzi niejedna książka odczytana wspólnie, później utarczka zdań o odczytanem dziełku. Książka, rozmowa, gry towarzyskie powinny być ogniwem wszystkich zebrań, a mniej będzie utyskiwań na nudy. Poezya, a tak znów bardzo na brak jej uskarżać się nie możemy — niech przynależny sobie tron zajmie, a choć nieco odwykliśmy od niej, zanadto zakochawszy się w prozie, choć ją zadaleko od siebie wygnaliśmy, tak, że dzisiaj już nie zupełnie rozumiemy się na niej: wróci ona, wróci ze wszystkimi czarami i ponętami, a jeżeli i trochę w niebo uniesie — nie lękajmy się tego wzlotu: dla ducha potrzeba gwiazd nieco i trochę słonecznych promieni.

Na sam koniec pogadanki dzisiejszej zostawiłem wspomnienie o uroczystości odsłonięcia i poświęcenia pomnika dla mistrza pieśni polskiej, Fryderyka Szopena, w Żelazowej Woli postawionego. Nie moja jest w tem wina: W połowie zaczęta pogawędka z wami, szanowni czytelnicy przerwać musiałem i gdy ją chłopak do drukarni odnosił, ja śpieszyłem na pociąg, który miał mnie zawieźć do miejsca urodzenia Szopena.

Dzień był prześliczny, choć słońce za chmurami się kryło — z Rudy Guzowskiej śpieszyły wózki, wasagi i powozy do Żelazowej Woli. Około godziny dwunastej dziedziniec przed dworem Skarbów niegdyś, napelniał się tymi, którzy przybyli hołd złożyc zgasłemu przed czterdziestu pięciu laty mistrzowi.

W otoczeniu kwiatów i zieleni stał obelisk pod osłoną. Czeciele Szopena w milczeniu odwiedzali mały pokój gdzie się Fryderyk urodził, zatrzymywali się długo pod konarami pięknego świerku, gdzie często zasiadał mistrz do fortepianu i rzucał dźwięki swych pieśni.

Zabrział marsz pogrzebowy — to uderzył w klawisze przyniesionego pianina — Michałowski...

Znacie grę Michałowskiego, jednego z najlepszych dziś wykonawców nieśmiertelnych pieśni Szopena; znacie ten marsz żałobny, ten jęk wydobyty z piersi milionów.

Po Michałowskim zasiadł do fortepianu Kleczyński, a po nim znowu p. Bałakirew, dyrektor kapeli dworskiej w Petersburgu, wielbiciel Szopena, przybyły umyślnie na ten dzień z Krymu. Całości obrazu dopełniał Krysiak, stary włościanin, współczesnik Szopena: stał koło mnie i szeptał:

— Tu groł, tu pod świrkiem, panocku, a ludzie dziwowali się.

O godzinie w pół do pierwszej rozpoczęła się uroczystość odsłonięcia pomnika, poprzedzona kantatą Noskowskiego, napisaną do słów p. Andrzeja Niemojewskiego.

Po wykonaniu chóru przy dźwiękach orkiestry Towarzystwa Muzycznego, na żelaznej podstawie stanął dyrektor Z. Noskowski i w imieniu Towarzystwa Muzycznego krótką mowę wygłosił na uczczenie dnia pamiętnego, poczem zasłona

spadła i ukazał się skromny obelisk z popiersiem Fryderyka.

Nie zabrzmiał żaden okrzyk na cześć dawno umarłego pieśniarza, znamienne milczenie wśród tysięcznego panowało tłumu, tylko cichym szelestem zaszumiały drzewa, rzucając deszcz złotych liści na pomnik Szopenowski. W milczeniu złożono wieniec a kanonik sochaczewski ks. Siennicki dopełnił obrzędu poświęcenia pomnika.

Po śpiewie „Lutni“ wykonano polonez Szopena pod dyrekcją p. Münchheimera, ułożony przez tegoż na instrumenty dęte do słów p. Maxymiliana Radziszewskiego.

Stał więc pomnik Fryderykowi Szopenowi w Żelazowej Woli, stanęła do apelu „Lutnia“ warszawska i łódzka, wszyscy artyści i cały świat literacki; widzieliśmy szewców i krawców przybyłych na uroczystość, ogółem może do dwóch tysięcy osób.

No, a reszta Warszawy? a zamożny świat przemysłowy — a arystokracja, przedstawiciele historycznych rodów? Kędyż to w dniu onej pamiętnej uroczystości znajdowali się — oni?

Al — zapomniałem, że na polu mokotowskim odbywały się wyścigi.

??

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

XVIII.

— Ciocia Hala, ciocia Hala!... — wołały dzieci, klaszcząc w ręce na widok zajeżdżającego przed ganek pojazdu Bielowskich. — Kto z nas pierwszy pocałuje ciocię Halę? — Figlarna Muszka rzuciła Wandzie i bratu wezwanie i pędem puściła się ku Halinie.

Jurek, dzięki umiejętnym staraniom babki i lekarzy, nieźle wyrastał. Był wprawdzie bardzo brzydki, ale, wbrew przewidywaniom, wąty organizm zmocnił się i chłopczyzna był nad wiek pojętny i rozumny.

— I ja do cioci Hali... i ja — wołał, podążając za siostrą.

Rzadkim była teraz gościem w Kamieńcach, ta ukochana przez wszystkich ciocia Hala. Choroba ojca zatrzymywała ją w domu.

Gdy jednak ważna zmiana zaszła w jej życiu, należało przedewszystkiem, pojechać do ciotki.

— Brakowałoby czegoś mojemu szczęściu, gdyby dłoń najlepszej cioteczki nie spoczęła z błogosławieństwem na mojem czole... — mówiła do matki Halina. Lucyan nie mniej od narzeczonej szanował Kamieniecką.

— Patrz tylko, Wandziu, jaka ciocia Hala śliczna dzisiaj? — woła roztrzępana Muszka, z zachwytem przyglądając się Halinie.

Rolski udał obrażonego.

— Czyż tylko dzisiaj? ty małe niepocziwe stworzenie! — mówi, gorącym wzrokiem, wodząc za narzeczoną. Istotnie, Halina bardzo młodo i miłutko wygląda. Smutna dotąd, poważna jej twarz ma wyraz błędnego spokoju, mimo łagodnej melancholii, która w głębokich niebieskich oczach stała już widać obrała sobie siedlisko.

— Gdzież ciocia? — pyta Halina dzieci, chcąc uwagę od siebie odwrócić.

— W Krakowie — odpowiada, uprzedzając siostrę Muszka. — O, już mi się zdaje, że babunia tak dawno, dawno odjechała...

Mały Jurek posmutniał.

— Babunia dawno odjechała... — powtórzył za siostrą. — Jurkowi bardzo żal babuni...

Wandzia ujęła go za rączkę.

— Ale wróci niedługo — rzekła słodko. — Jurek będzie rad i babunia będzie rada, bo Jurek był grzeczny...

— Ależ, dzieci kochane... — zdumienie Haliny przeszło granice. — O czym wy mówicie? Więc babci niema w domu?

— Już blisko tydzień, jak wyjechała — odparła Wandzia zarumieniona. Co ona teraz robi, gdy ciocia Hala zapyta o co więcej? Przecież ma być sekret przed ojczulkiem nawet.

— Cóż się to stało? — zwróciła się Halina do narzeczonego, wciąż niepojęcie zdumiona. — Ciocia tak nie lubi z domu wyjeżdżać... Musiało zająć coś ważnego? Ale to już ojczulek nam powie...

— Ojczulek wyjechał w pole zaraz po śniadaniu — oznajmiła Wandzia. — Jestem nawet niespokojna, że nie wraca. Niezdrowszy chyba... taki mizerny dzisiaj...

— Nie zastaję więc nic wesołego u was, moja dziewczeczko — rzekła Halina, głaszcząc pieszczotliwie główkę Wandzi. — Któż gospodaruje w nieobecności babuni? Woźniasia niezem się już pewno nie zajmuje?

— Woźniasia już bardzo stara... Nogi jej puchną i nie może chodzić... Ja się zajmuję gospodarstwem, cioteczko — odparła Wandzia, spuszczać oczy. — Staram się o ile mogę; nie wiem, czy babunia będzie zadowolona...

— Oto się bynajmniej nie lękam — rzekła Halina, wchodząc do pokoju i zdejmując kapelusz. — poczekamy na Stasia, panie Lucyane?

— Oczywiście. Czy p. Kamieniecka nie oznaczyła dnia powrotu? — pyta Rolski Wandzi.

— Spodziewamy się go codziennie; sądzę jednak, że babunia powinna telegrafować o konie. Mama lubi jeździć wygodnie i...

Zarumieniona, spuściła oczy i umilkła. Wygadała się biedaczka, ani wiedziała kiedy.

— Co mówisz kochanie? Więc mama powraca? Doprawdy, Wandziu, trudno mi cię dziś zrozumieć — rzekła Halina. — Czemu nie powiedziałaś mi tego odrazu? To szczęśliwa nowina!

Wandzia obróciła się niespokojnie. Muszka z Jurkiem wojowali z ulubieńcem Neptunem i nie nie słyszeli. Niezręczność Wandzi przeszła dla nich nieopstrzeżenie.

W parę godzin potem Halina z Lucyanem stała na ganku, smutna i zaniepokojona. Stanisław nie wrócił dotąd i nikt nie umiał objaśnić, gdzie pojechał.

Wandzia spodziewała go się na obiad — naróżno.

— Mam jakieś niedobre przecucie — mówi Halina, wysuwając rękę z dłoni narzeczonego. — Wszystko wydaje mi się dziwnie smutnym w tym domu. Ten wyjazd cioci, rumieńce Wandzi, nieobecność tak długa Stanisława... Coś się tu stać musiało, z czego jednakże tajemnicę robia...

— Pani moja przedwcześnie się niepokoi... — odparł Lucyan. — A ja na tem tracę najwięcej... Odebrałaś mi rączkę, ukochaną... Czemu?...

Pochylił się ku niej.

— Nie bądź tak wrażliwą, Halinko — szepnął, pieszcząc się z jej imieniem. Nie oswoił się jeszcze ze swoim szczęściem.

Dźwięki pocztowej trąbki ozwały się zdala. Z błyszczącymi radością oczyma, Wanda wpadła na ganek.

— Jedzie ktoś ze stacyi kolejowej — woła. — Naturalnie, nikt inny, tylko babunia; widzę najwyraźniej karetkę pocztową. Ciociu, ciociu! Teraz już wszystko mogę powiedzieć: Babunia przywozi Lorkę i manę... Ah! jakim ja szczęśliwa! Nie widziałam Lorei tak dawno...

Czwórka koni pocztowych zatrzymała się przed mostem. Nadbiegła Muszka, mały Jurek, i popędzili za Wandzią, aby jak najprędzej przywitać babunię.

— Lorka, Lorka... — powtarzała Wanda z uczuciem wielkiej radości, tuląc w myśli siostrę do stęsknionego serca. Nie czekając, aż służący zjedzie z kozła, otworzyła drzwiczki karety.

Prerażenie stłumiło okrzyk zawodu. Trupio błada i straszliwie zmieniona, siedziała w karecie Kamieniecka, sama jedna. Na widok Wandzi i nadbiegających dzieci słabe ożywienie odbiło się na jej twarzy.

— Jak się macie, dzieci kochane? — mówi zwołana głosem bardzo zmęczonym. — A! Halinka jest u was? Jakież to goście rzadki w Kamieńcach

Wysiadła i na krótką chwilę znalazła się w objęciach Haliny. Sztucznie wywołana fizyczna i moralna siła opuściła ją.

Uczuła, że słabnie.

— Taka długa i niewygodna podróż... — szepnęła, slaniając się na nogach.

Kiedy i jak potem znalazła się w swoim pokoju — nie wiedziała. Okropne zmęczenie zagłuszyło wszelkie inne uczucia.

W jej wieku, gdy organizm chorobą i kłopotami zniszczony, spędzić kilka dni w podróży, bez odpoczynku — nie przechodzi bezkarnie.

Halina serwo się zatrwożyła.

— Ja chyba zostanę przy cioci, panie Lucyane? — rzekła nieśmiało, gdy na chwilę zostali sami. — Ciocia słaba i — nie zawiodło mnie przecucie. Coś się stało niedobrego... Muszę dojść prawdy. Może pan będzie łaskaw pojechać do Bielowic i zastąpić mnie przy ojczulku? Mama nie podoba sama.

— Skoro pani każe... — Lucyan posmutniał. — Czy jednak pani uważa to za konieczne? — pyta, mając nadzieję, odwieźdź ją od tego zamiaru.

— O tak! Jestem pewna, że dziś przydam się cioci więcej, niż kiedykolwiek. Domyślam się trochę, o co tu chodzi. Ah, jakie to nieszczęście, że Lila tak wszystko lekceważy! Nie pojmuję, doprawdy, co to będzie?

— Jeżeli pani tak się dreczy urojeniami, to ja nie mam bynajmniej chęci zostawiać pani tutaj. Według mego zdania, nie się nie zmieniło dotąd... Panią Lilę znamy i wiemy, czego się od niej spodziewać należy. Panno Halino! Mnie tak przykro, że pani tu zostaje... Matka będzie niespokojna... Za dni parę przywiezę panią, jeśli zechcesz, do Kamieniec i...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— To być nie może — odparła ze słodkim uśmiechem, patrząc Lucyanowi w oczy. — Czuję, że się tu na coś przydam... ciocia bardzo jest zmieniona i Wandzia mężnie walczy ze łzami. Nie wesołą towarzyszkę miałaby z niej ciocia. Biedne dzieckol

Stało się jak chciała. Lucyan, choć z żalem, którego nie był w stanie ukryć, w godzinę potem pożegnał narzeczoną.

Halina odprawiła dzieci i przy łóżku ciotki usiadła. Kamieniecka leżała z przymkniętymi oczyma.

— Gdzie też Staś bawi tak długo? — szeptała co chwila.

— Pewno jakieś ważniejsze gospodarskie zajęcia... — perswadowała Halina. — Staś podobno teraz tak pracuje...

— Za wiele, moje dziecko, za wiele — odparła Kamieniecka. — To nie na jego siły... Boże, Boże! Co to z tego wszystkiego wyniknie? — wybuchnęła nareszcie. — Ah, Halino! Gdybyś ty wiedziała...

— To też chcę wiedzieć, cioteczko, i proszę nie męczyć mnie dłużej niepewnością. Wszak podróż do Krakowa nie była bez celu? Przypuszczam, że o Lilę chodzi?...

Kamieniecka zerwała się na łóżku i usiadła.

— Nie wspominaj jej imienia, Halino — woła podrażniona. — Nie kalaj niewinnych ust... O! ciężki krzyż włożył Bóg na moje słabe ramię... Bardzo ciężki!

Załkała boleśnie.

— Ona już zagranicą i niewiedomo kiedy powróci... — dodaje z głuchą rozpaczą. — Hrabia Zenon... hrabia Zenon pojechał z niemi i stara Dolewska pożyczyla na tę podróż pieniędzy od niego. O Halino, czy ty to pojmujesz?

Nie mogła mówić więcej... Ból rozrywał jej piersi. Halina siedziała jakby gromem przybita.

— Doprawdy, trudno mi zrozumieć... mówi osłupiała. — Czy Stanisław już wie o tem? — Czy to ma być rozstanie?

Nagle myśl o Lorce przemknęła przez jej głowę. Prerażenie odmalowało się w oczach.

— Ciociu, na Bogal Nie śmiem doprawdy pytać: więc Lorcia, Lorcia pojechała z nimi?

— Ależ to niepodobna! Nie, nie! powtarza. Ciocia-by się przecież nie zgodziła na to. — Po-

chyliła głowę, przygnębiona, nie chcąc spojrzeć w oczy ciotki, by nie wyczytać prawdy. Lorcja zapewne została na pensji — mówi — czepiając się tej myśli, jak deski ocalenia.

Kamieniecka milczała. W suchych jej żrenicach paliła się gorączka, mózg pracował nad wynalezieniem środka, któryby wiadomości, jakie przywozła, złęjszemi dla Stanisława uczynił. — Co ja mu powiem?.. wyszeptowała z trwogą. Co ja powiem? — Nie miała czasu namyślać się długo.

Tuż przed domem przeleciał stary wierzcho wiec Stanisława i po chwili on sam zjawił się w pokoju matki.

Blady był bardzo i dziwnie jakoś wyglądał. Oczy miał mętne a błyszczące, usta mocno czerwone i wilgotne. Coś nienaturalnego przebiegało w spojrzeniu i w całym zachowaniu się Stanisława.

Idąc przez pokój, potknął się cokolwiek i nie dostrzegł Haliny, siedzącej przy łóżku matki.

— Mateczka odpoczywa po trudach podróży, — rzekł nieco ochryplym głosem, całując rękę matki. — Ale podróż się przynajmniej udała — nieprawdaż? — Roześmiał się...

Halina podniosła się zdziwiona. Taki jej się wydał inny, taki sztuczny i nawet się z nią nie przywitał... Co to ma znaczyć?

Wyciągnęła ku niemu rękę. — Jak się masz, kuzynku? — mówi cicho, ale patrzy bystro na niego. — Nie poznałeś mnie?

Stanisław odwrócił się szybko. — Aaa!.. Ciocia Hala, nasza ciocia Hala — odzywa się, szukając ręki Haliny. — Prawda, zapomniałem! W stodołach jeszcze mówiono mi, żeś przyjechała. Cóż słyhać? U nas nie wesoło... Uśmiechnął się... Matka niepotrzebnie jeździła... Droga daleka, a rezultat był do przewidzenia.

Obie kobiety spojrzały na siebie zdumione. — Stanisław przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Zmęczyłem się... mówi. Cały dzień niemal byłem na koniu... Wie mateczka, że napiłbym się czego... Ot, mocnej kawy czarnej, naprzykład, z koniakiem. To pobudza krew do szybszego krążenia i wcale dobrze robi. Starość nie radość — powiada przysłowie. Nieprawdaż, Halu? I mama niezbyt dobrze wygląda...

Zaczął się kołysać na krześle, wzrok mu się zamglił wzruszeniem.

— Chciałem i ja wybrać się za mamą do Krakowa — rzekł jakby do siebie. Ale byłbym się i tak spóźnił... Może to i lepiej... Ha! — skoro inaczej być nie może: „Pani łaskawa, człowiek szczęśliwy — pani niełaskawa, człowiek zdrów“.

Podniósł się i zadzwonił.

— Kawa czarna, koniak i cygaro — rzucił służącemu, gdy się ukazał we drzwiach.

— Pójdę do siebie, matko, i położę się...

— Wybaczycie mi to panie łaskawie. Głowa mię boli... Nie wychodził jednak.

Kamieniecka ujęła go za rękę. — Nie pij czarnej kawy, Stasiu — prosi cichym głosem.

— Wszak wiesz, że kawa ci szkodzi i więcej jeszcze rozstraja. Doktor surowo zabronił...

— Co tam doktor! Oni sami nie wiele wiedzą... Kawa zawsze mi dobrze robi.

Zresztą nie jestem młodzikim; sam wiem co mi szkodzi. Sprzykrzyła mi się ta kuratela, kochana mamó.

Halina spojrzała na niego, niepojęcie zdumiona.

Stanisław odzywający się w ten sposób do matki... Cóż to się stało? Coraz więcej zaniepokojona podniosła się z krzesła i wyszła. Stanisław jakgdyby czekał na to. Ledwo się drzwi za nią zamknęły, zwrócił się do matki.

— Widziałas ją, matko? — pyta drżącym głosem. — Zawsze ładna, strojna, wesoła.

— Nieprawdaż? — Ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta. — I słodka, dobra dla wszystkich — dodaje z goryczą — tylko nie dla męża i dzieci własnych...

Zerwał się z krzesła gwałtownie.

— Nie potrzebuje mnie matka oszczędzać — mówi — Wiem już, że wyjechała. Śliczna rzecz! Głupiec jestem i tchórz w dodatku. Miałem ochotę wczoraj jeszcze w łeb sobie palnąć... Jakos zeszło.

Roześmiał się. — Czemu ten bałwan koniaku mi nie przynosi!.. rzekł z gniewem.

— Nie będziesz chyba pił teraz — zaczęła matka z prośbą. — W ogóle wcale pić nie nie powinienś... Stasiu, moje drogie dziecko!

Czy ty nie wiesz, czy nie pojmujesz, jaką mi to boleść sprawia?..

— Głupstwo! Bagatela, o której mówić nie warto... Mama mi zazdrości chwilkę zapomnienia... Nie upiję się przecież.

— W każdym razie nie będziesz pił u mnie... Nie dzwoń, proszę cię...

Odstąpił od dzwonka.

— Nie wiem, doprawdy, co to mamie przeszkadza... Przeszedł się po pokoju i usiadł przy matce. — Niechże mama nie będzie tak skąpą w szczerogłach — rzekł. — Radbym coś więcej o Lili usłyszeć... Oczywiście, wyjazd mamy przedsięwzięty został w tym celu, aby ją nawrócić... Nie udało się... prawda? O, znam ja moją śliczną żonę: uparta jak szatan! Cóż? — pytała się o mnie, o dzieci? Taka troskliwa żona i matka...

Uśmiechnął się z goryczą.

— Podobno parę miesięcy ma zabawić w Paryżu.

— Nic o tem nie wiem. Mówiliśmy tylko ogólnie z całej tej podróży — odparła Kamieniecka. — Jutro pomówimy obszernie o wszystkim. Dziś jestem zmęczony! I tyś zmęczony, Stasiu...

Uśmiechnął się zagadkowo.

— Odkładać rozmowę na jutro, skoro nie wiem co nam to jutro przyniesie, nie uważam za bezpieczne; odpoczynek znajdzie się i po śmierci...

Mówił lekkim, drwiącym tonem, dreszcz wstrząsnął Kamieniecką.

— Co też wygadujesz, Stasiu?.. Przykro mi niezmiernie, że nie masz dziś żadnego względu na mnie. Nie jestem zbyt zdrową, podróż mię zmęczyła. Zamiast odpocząć, muszę słuchać bardzo bolesnych dla mnie rzeczy.

Zamilkła; w głosie jej czuć było śmiertelne zmęczenie. Drżała z trwogi o syna i zachowanie się jego sprawiło jej boleść ogromną.

Jego to bynajmniej nie wzruszyło. Zaczął bębnić palcami po stole, drwiący uśmiech nie schodził z jego twarzy.

— „Sam tego chciałeś, Jerzy Dyndało“... — rzucił półgłosem, nie zdając się zwracać uwagi na słowa matki. — „Sam tego chciałeś“...

Kamieniecka zacisnęła usta.

— Jeszcze i to! — szepnęła do siebie. Musiał wypić więcej, niż kiedykolwiek.

— Jak myślisz, matko: czy pojechać za moją panią do Paryża, czy nie? Chyba się tam znajdzie jeszcze co do sprzedania w naszym gospodarstwie!..

— Prawda? — pyta Stanisław.

— Zapewne. Masz krowy, konie... żona wmo- wiła w ciebie, że Kamieńce obejść się mogą bez wielu rzeczy. Zaczynasz, jak uważam, godzić się z tem wszystkim.

— Wzięli d... pistolety... — mówi śmiejąc się... Zna mama przysłowie?

— Nie wolno ci tak mówić — rzekła surowo matka. — Masz dzieci. Nie poznaję cię, mój synu; od pewnego czasu nabrałam przekonania, że trudno byłoby liczyć teraz na ciebie. Położenie nasze jest coraz smutniejsze, a ciebie, energia i chęć do pracy opuściły ze wszystkim.

— Zkądże to mama wnosi? — zapytał do- technięty.

— O, czyż potrzeba nazywać rzeczy po imieniu... Złe Stasiu, bardzo złe! Miałabym chyba prawo wymagać od ciebie pomocy. Za stara jestem, abym na swoich barkach wszystko podźwignęła.

Stanisław rzucił się niecierpliwie.

— Co to o tem mówić... — rzekł niechętnie. — Daremny trud! Już mi się nie chce i niczego nie pragnę.

Zasłonił twarz rękami i zapłakał.

— Porzuciła, odjechała mnie... — szeptał wśród łez, których nawet nie starał się ukryć przed okiem matki. — Czyż ona nie wie, że nie mam za co pojechać za nią, że tęsknię i kocham ją bez granic. — O matko, matko, jakim ja nieszczęśliwy!

Biedna Kamieniecka! Słaba, znękana do ostateczności po rozmowie z Lilią w Krakowie, zamiast odpocząć, dźwigać się musi całą siłą, aby tego biedaka przy sobie podźwignąć!

— Stasiu, — mówi z goryczą — miejże też trochę litości nademną. Czy widzisz, abym płakała? Pewno nie mniej od ciebie cierpię.

Powoli zaczął się uspakajać.

— Mazgaj jestem — rzekł — wiem o tem; daruj mi, matko. Dla tego właśnie chciałem się czegoś napić... To mi dodaje energii. Zaraz się weselej na świat patrzy. Mama tego nie uznaje — co?

Wejście Haliny przerwało rozmowę.

Stanisław podniósł się z krzesła.

— Skoro Hala będzie przy tobie, matko, to ja pójdę do siebie. I tak towarzystwo moje niezbyt wesołe. Czy zobaczymy się przy herbacie?

— Nie, mój drogi! Nie wstanę już dzisiaj z łóżka.

Stanisław pożegnał matkę.

— Spotkamy się dziś jeszcze — rzekł do Haliny i wyszedł.

Kobiety zostały same. Nareszcie. O, czas już był! Kamieniecka czuła, że lada chwila, całą siłą woli wywołany, spokój opuści ją, a wtedy — wtedy nie będzie już tamy, któraby powstrzymała zdołała jęki i łzy niewylane dotąd. W podróży nie mogła przecież pofolgować swej boleści.

— Moja droga, ciociu, co się tu dzieje? zaczęła Halina, siadając przy łóżku. Doprawdy, że rozum gubi się w tem wszystkim. Ja wcale nie poznaję Stasia. Czy on chory?

Kamieniecka zacisnęła kurczowo rękę. Wielka boleść odmalowała się w jej oczach.

— Wierzę, że trudno ci go poznać — szepnęła. — O Halino, Halino czemuż ja dożyłam tej boleści! — zawołała z rozpaczą. Niczego, niczego mi los nie oszczędził!

Kiedym po raz pierwszy to dostrzegła, Boże! jakąż to ciężka była chwila dla mnie! Zdawało mi się, że sił już nie stanie wobec tego nowego ciosu... Nieprawda! Bóg zsyłając zmartwienia, dodaje i świeżych sił... Wszystko się przeżyje...

Łkania pierś jej rozrywały. Halina schwyła ją za rękę.

— Ciociu, ciociu, proszę błagalnie — uspokój się... Pomyśl tylko: co by się stało, gdyby ciebie zabrakło...

Kamieniecka znękana głowę oparła na ramieniu Haliny.

— I ja się tego lękam — mówi słabym głosem. — Nie mogłam się powstrzymać... Niezawsze można. — Moja droga, czyż ja nie widzę, co się dzieje, a czyż nie przeczuwam tego, co się jeszcze dzieć będzie?.. Mnie szaleństwo jakieś ogarnia.

Widzę z każdego kąta wyglądającą już nędzę... Ten blichtr świecący nazewnątrz coraz mi trudniej utrzymać. Szalone wybryki Lili pochłonęły dotąd wszystkie moje oszczędności. Jam się już wyrzekła wszystkiego, zdecydowałam się porzucić Kamieńce i z dziećmi się rozstać, byle ona wróciła. Prosiłam, błagałam, naprzóżno!

— Czy ciocia przypuszcza, że tak byłoby lepiej? — spytała smutno Halina. Bardzo wątpię. Taka lekkomyślna istota czyż byłaby zdolną kierować wychowaniem dzieci, zajmować się gospodarstwem i interessami, tak, jak to ciocia robi?..

O, to byłoby stokroć gorzej!

— Nie, dziecko moje, wówczas, Staś byłby uratowany. Mając ją przy sobie, gdyby go trwoga i tęsknota za nią nie szarpały zająłby się gospodarstwem i interessami, i nie szukałby zapomnienia... Nie, Halinko! Nie podobna mi prawie słowa tego wymówić. Czyż ty niczego się nie domyślasz?

Młoda kobieta, zarumieniona, spuściła oczy. Ten Staś... wymarzony, wypieszczony ideał, którego przez lat tyle nauczyła się szanować i wielbić prawie... Czyż może być coś boleśniejszego nad to, gdy się widzi moralny upadek człowieka, którego wywyższyło się ponad wszystkich innych?..

Halina uczyła w sercu dojmujący ból... Nie kochała Stanisława tą miłością, co dawniej, ale miała teraz dla niego głębokie siostrzane uczucie — a rozstanie się z jakimkolwiek złudzeniem sprawa nam zawsze przykrość ogromną.

— Nie chcę się domyślać niczego, ciociu—rzekła wreszcie, nie podnosząc oczów. — Może to... chwilowe jakieś zapomnienie... coś chorobliwego... Nie podobna inaczej przypuszczać...

Była bardzo zmieszana i bardzo smutna. Ciotka ją zrozumiała.

— Żal mi cię, biedaczko, i pojmuję cię...

— Wiedziałam, że i tobie boleść do sprawi... rzekła cicho i słaby rumieniec zabarwił jej bladą twarz — rumieniec upokorzenia, dla hardych istot, które osobistą godność człowieka wyżej cenią po nad wszystko, rzecz ciężka do zniesienia i bardzo bolesna. Popłakały się obiedwie.

Halina pierwsza się uspokoiła.

— Trzeba jednak coś radzić, cioteczko—rzekła wreszcie, tuląc się pieszczołtliwie do ciotki. — Czy ja-bym nie mogła przydać się wam na co? Gdyby go można uratować jeszcze, o Boże mój, Boże, jakież-by to było szczęście!

— Nie wiadomo kogo i co w pierw ratować, moje drogie dziecko — odparła Kamieniecka. — Ciężką gryzotą jest dla mnie myśl o Lorci. Co z nią stanie? Nie jest już małym dzieckiem; przeciwnie, w tym wieku panienki są już ciekawe i domyślne. Ah, jakie to wstrętne, obrzające!

— Czy nie daloby się odebrać Lorci?—spytała Halina. — Może Stać mógłby upomnieć się o nią? Takie śliczne dziewczę, tak bogato obdarowane przez matkę-naturę, tyle zapowiadające na przyszłość! Nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo o Lorkę się lękam! Kocham to dziewczę bardzo, bardzo!

Kamieniecka westchnęła.

— Nie można marzyć nawet o tem, aby Lorcię odebrać — odparła. — Jest ona osłoną o tyle dla matki wygodną, że za nie pozbyć się jej nie zechce. Istotnie, Lorcia ratuje całą sytuację. Edukacja jej dalsza służy matce za pozor i ogół, jakkolwiek potępi Lile za nie obrachowanie się ze środkami materyalnemi męża, będzie pobłażliwym, sądząc, że to miłość macierzyńska skłoniła ją do wyjazdu zagranicę. Oczywiście, jest to deska ocalenia dla ucziwego dotąd imienia Kamienieckich, ale dziecko, nasza śliczna Lorka będzie ofiarą. Halino, Halino, czy ja wytrzymam, czy będę zdolna przenieść to wszystko?—wybuchnęła z rozpazą. — Tak mi już ciężko... Tobie jednej mogę powiedzieć: ból w sercu dokucza mi coraz częściej, tracę siły i...

Halina nie pozwoliła jej dokończyć.

— Ciociu, droga ciociu, nie myśl o tem i nie mów—rzekła przerażona. — Powinnaś się oszczędzać, krzepić się tem przeświadczeniem, że ty jesteś jedyną sprężyną, która tu wszystkiem kieruje, i bez ciebie... Strach pomyśleć nawet! Ależ te dzieci bezpowrotnie byłyby zgubione...

— Sądzę, że ta myśl właśnie trzyma mnie dotąd przy życiu — odpowiedziała Kamieniecka. — Ale też i dlatego, lęk mię ogarnia! Co to z tego wszystkiego będzie? Staś, nie wie dotąd, że hrabia pojechał także. Cóż łatwiejszego jak dowiedzieć się o tem? Czy Lora w liście wspomni, czy ktoś ze znajomych spotka... O, wtedy za nie odpowiadam. Już i teraz grozi, że odbierze sobie życie...

Halinę dreszcz przeszedł.

— Boże, Boże, cóż się tu dzieje — szepnęła, z trwogą łamiąc ręce. Chciała coś mówić, ale spojrzenie jej padło na Kamieniecką, i zdrętwiała. — Ciociu, najdroższa ciociu — mówi, biorąc jej zlodowaciałą rękę i ogrzewając w swoich. — Czy niedobrze się czujesz? Może podać ci cokolwiek? Zadzwonię, aby Wandzia przyszyła do ciebie. Jeszcze śmiać się będziemy z naszych obaw, cioteczko. Zobaczysz. Lila wróci, uspokoi się, spoważnieje i Lora nasza pozostanie dobrem szlachetnym stworzeniem... Tylko ty nam bądź zdrowa, moja jedyna ciociu!...

Mówiła szybko, gorączkowo, z okiem wlepionem w blednące i sztywniejące rysy Kamienieckiej. Chciała bądź co bądź, obudzić w niej przytomność i siłę, któraby zapanować mogła nad omdleniem. Napróżno.

W kilka minut potem dzwonek, gwałtowną szarpniętą ręką, sprowadził do pokoju Kamienieckiej Wandzię i służbę. Ratowano, cueono omdlałą, Halina z Wandą traciły głowę.

— Biegnij po papę — zawołała Halina, ale wprędce myśl jakaś uderzyła ją. — Zaczekaj, zostań przy babuni—rzekła zmieszana. — Poszukam sama ojca.

Myśl, że Wandzia mogłaby go zobaczyć w nie naturalnem usposobieniu, przejęła ją niezmierną trwogą.

Pobiegła sama. Zastukała nieśmiało do drzwi pokoju Stanisława, ale nikt na pukanie jej nie odpowiedział. Weszła. Wszelka etykieta i jej wymagania zniknęły wobec trwogi, aby ktokolwiek z dzieci lub służby nie dostrzegł tego, co ona i ciotka, za jaką bądź cenę ukryć pragnęły.

W pokoju Stanisława paliła się lampa. Na stole stała filiżanka czarnej kawy, nie wypita jeszcze, butelka koniaku odkorkowana i flaszka araku. Rozlana woda duża kałużą stała na stole i kapał się w niej atlasowy krawat Stanisława; resztki stłuczonego szkła wały się na podłodze. Niósł snadź szklanekę do ust i drżąc, niepewna ręka odmówiła posłuszeństwa.

Przerażony wzrok Haliny objął to wszystko błyskawicznie i blada jej twarz bardziej jeszcze pobladła.

Obejrzała się po pokoju. Na sofie, w ubraniu, leżał Stanisław. Widocznie, sen go szybko pochwycił, a nie miał siły rozebrać się... Spał gorączkowo, z otwartymi ustami, z twarzą czerwoną i jakby obrzmiałą, z kroplami potu, które perlily się na czole.

Halina wrosła niemal w ziemię. Obraz, jaki się przedstawił jej oczom, przejął ją nieopisanym wstrętem. Zdawało jej się, że ten śpiący mężczyzna, to jakiś obcy, którego nie znała dotąd; nieporządek i butelki na stoliku stojące wprowadzały ją w zdumienie. Czy to sen przykry? Nie mogła, nie chciała uwierzyć, że znajduje się w Kamieniecach, w pokoju Stanisława, którego kochała i który przez lat tyle był dla niej uosobieniem przymiotów, jakie szlachetnego, ucziwego człowieka cechować powinny.

— Czy ja śnię...—szepnęła wreszcie. — Czy ja śnię!.., Boże! jakże nas ciężko doświadczasz! Biedna biedna ciociu! Brr! — wstrząsnęła się, z uczuciem nieopisanego wstrętu. — Jak człowiek może dojść do takiego stanu — pomyślała ze zgrozą. — I to taki człowiek! Mój szlachetny, ogólnie szanowany Stanisław, któremu ołtarz nieledwie wystawiłam niegdyś w swem sercu.

Zarumieniła się pod wpływem jakiejs myśli, która jej przez głowę przemknęła. Coby się teraz ze mną stało... gdyby... O! Jestem pewną, że nie przeżyłabym tego. Nigdy, przenigdy!

Zwróciła znów spojrzenie na śpiącego Stanisława.

— Nie wiem czy go obudzić—szepnęła do siebie. — Ciocia taka chora...

Stanisław się poruszył niespokojnie.

— Lili, moja Lili!.. — zaszeptał. — Pójdź do mnie...—Silne chrapanie ozwało się po chwili. Zasnął mocniej jeszcze.

Halina otarła łzy. Nie czuła już wstrętu dla tego nieszczęśliwego, a natomiast, niezmierną litością przejęła jej serce.

— O, jak mi cię żal — szepnęła. — Jak mi cię bardzo, bardzo żal!..

Z temi słowami wybiegła z pokoju. Zdawało jej się, że ta litość właśnie do ostateczności upokarza człowieka, który zasłużył na nią.

Przybyły w kilka godzin dr Olski z Lucyanem przerazili się zmienioną twarzą Haliny. Atak u Kamienieckiej przeszedł szczęśliwie, ale doznanych, bolesnych wrażeń nie zapomina się tak prędko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z Antwerpii.

Wystawa dobiega już do końca, chociaż termin zamknięcia jest zapowiedzianym na dzień 15-ty Listopada, przecież ruch, który ją ożywia słabnie coraz, jak to bywa zwykle, gdy akt rozdania nagród nastąpi, co wprawia znaczną część wystawców w zły humor. Za to miasto i komitet wystawowy jest zadowolonym, bo zjazd był bardzo liczny i niemało pieniędzy ze wszystkich stron świata wpłynęło tu ludziom do kieszeni. Że wystawcy nie spodziewają się już obecnie nowych przybyszów, więc znaczna ich część niechętnie tu siedzi, zwłaszcza, że opłata miejsca na wystawie jest dość droga, utrzymanie też nie tanie i pokole nie dzikich Amerykanów, które ściągają tu zrzęcznie dla efektu i urozmaicenia wystawy, nie mają dostatecznego dochodu z okazywania się ludziom, a czując nad sobą groźbę tradowania za długi zaciągnięte, uciekło jednej nocy na swych małych, ręcznych konikach, i gonić ich byłoby to samo, co ścigać wiatr w polu.

Zarząd wystawy okazał się za to bardzo hojnym. Wystawców liczone dwaście tysięcy a nagród wielkich przyznano 400, dyplomów honorowych 800, medali złotych 1.800, mniejszych nagród i odznaczeń 8.000 i nigdy jeszcze hojność tak łaskawa nie miała miejsca na wystawie żadnej, co też obniżyło nagród tych znaczenie. O wystawcach naszych i ich powodzeniu pisałem już poprzednio i dodać mi tylko należy, że panie nasze, biorąc tu udział w zakresie pracy niewieściej, otrzymały wszystkie — wszystkie co do jednej pierwszą nagrodę. Czy praca ta była tak wyborna, czy łaskawość biegłych tak wielka, sędzić nie umiem jako profan pod tym względem. O naszych wystawcach i ich powodzeniu pisałem już wam w pierwszym liście, przecież dodać trzeba, że hr. Tyszkiewicz z Zielonej, któremu przyznano medal złoty za nasiona buraków, zrobił przysługę wyjątkową rolnikom naszym przez wystawę swoją, ponieważ miejscowe kółko rolnicze zaprojektowało nabycie od gospodarzy naszych nasienia wspomnianego.

Do rzeczy bardzo zajmujących a nigdzie poprzednio nieoglądanych zaliczała się wystawa amerykańskiego stowarzyszenia nurków, urządzonej w parku gmachu wystawowego, gdzie za opłatą pięćdziesięciu centów można zobaczyć przedmioty bardzo ciekawe, wydostane z głębi dna morskiego. Są tu różne zajmujące dla nowoczesnego widza rzeczy, wydarte falom, które je pochłonęły zatapiając, a między innymi skrzynia mieszcząca w sobie 94.000 franków a zatopiona wraz ze statkiem „Alfonso“ u brzegów wysp Kanaryjskich; przedmioty to warte widzenia, a spoczywały one na dnie morskiem od 1792 r., gdy okręt francuzki „Royal George“, poszedł na dno w pobliżu wyspy Wight; jest i wagon angielskiego pociągu osobowego, który zatonął w 1888 roku na rzece Tay przez załamanie się mostu, a z którego jeden tylko wagon odnaleziono u wybrzeży Norwegii. A co tu okazów zajmujących starożytnika, a zarazem co przedmiotów wykazujących, jakie to skarby w gatunkach rozmaitych mieszczą się na dnie fal morskich! — i dlatego to uznano tutaj stowarzyszenie nurków za instytucją ogólnego pożytku, przyznając mu wskutek tego złoty medal większy.

Do przedmiotów, które przyciągają nietylko przeciętnego gościa wystawy należy wzniesiona w parku wystawowym wieżycia bardzo oryginalna w pomysłach a przez strukturę swoją obrachowana na efekt dla tych gości wystawy, których nęca figle niespodzianek. Jestto olbrzymi, zbudowany z cegieł ogniotrwałych i cementu słoń, na którego grzbiecie dźwiga się w górę po lewej stronie od widza wieża o pięciu piętrach, zakończona ornamentem szczególnego pomysłu — przeogromną butlą szampana, która przecież nie daje wina, ale efekt niepospolitego widoku, gdy widz ów patrzący ztąd na dół obejmuje wzrokiem białe budynki dzielnicy arabskiej z meczetami, których wieżycie

zdają się być wzniesione z koronek marmurowych, a których szczyt zdobi złocisty półksiężyc, gdy na prawo oko spostrzega malowniczą dzielnicę „Vieil Anvers,“ której widok może przykuć wzrok do siebie, jak to opisywałem w pierwszym liście moim do was. Okolona murem, który zdaje się być odwiecznym tak jest szesnastowieczny, tworzy silny i efektowny kontrast z wdzięcznym parkiem palmowym osady Kongo, gdy w dali połyska jezioro, noszące nazwę kapitana Boytona a dalej jeszcze niełatwo dające się przeliczyć setki pawilonów wielkich i małych, namiotów, szałasów, ka-wiarni w najrozmaitszym stylu.

Dzielnica „Vieil Anvers,“ jak łatwo odgadnąć, musiała z natury rzeczy działać tu na przybywających gości atrakcją iście magnusową. D. 20-go zeszłego miesiąca odprawiony w niej kiermasz flamandzki był wart widzenia. Ile namiotów, bud starego stylu! a jaki malowniczy karuzel, przeciągający wspaniale w starych zbrojach, strojach średniowiecznych! Bal, dany w teatrze zamienionym na salę balową, otworzył Karol V-ty z Małgorzatą Parmeńską w ogromnej sali balowej, która utworzyła się ze sceny teatru zrównanej i połączonej z parterem. Publiczność miejscowa interessowała się przecie więcej nad to wszystko biedakami, którzy w tym czasie właśnie ulegli ciężkiej klęsce pożaru, żądając, aby średniowieczne widowisko walki byków było danem na ich korzyść; Towarzystwo opieki nad zwierzętami protestowało przecie i rzecz niełatwo została doprowadzona do skutku. Musiano złożyć przyrzeczenie, a mówiono nawet, że przysięgę, iż zwierzęta te będą traktowane bardzo łagodnie; arenę walki otaczały trybuny najwyższe tu stojących osób, arystokracji, wysokich dostojników państwa, a z przykrością dodać trzeba, że była tu wielka liczba kobiet—pań strojnych, młodych, które uśmiechnione, z kwiatami we włosach przybyły patrzeć na dzikie zapasy człowieka ze zwierzem i serce dziwnie mi biło w tej chwili. Czulem, że żadna zpośród nich gdyby była piękna jak Afrodyta, mądra jak Minerwa, nie zdołałaby wzbudzić mi w piersi jakiegoś tkliwego uczucia; może jestem z tych zacofanych, którzy chcą widzieć w kobiecie istotę tkliwą, wzruszającą się na widok cierpienia, boleści czyjejkolwiek; ale już się tego nie pozbedę i pozbyć nie chcę, bo nie mogę uwierzyć w szczęście, jakim darzy miłość wyemancypowanej *hic mulier*. Jeżeli prawdą być mają te poety słowa, że: „my rządźmy światem a nami kobiety“ to kobiety te muszą być przede wszystkim kochające, bo inaczej i my już ukochać ich nie zdołamy.

Ale prawda to znana i uznana, przepraszam też za odstąpienie od przedmiotu a dla uzupełnienia obrazu tutejszej wystawy dodać mi należy, że mieścił się tu oddział przemysłu mleczarskiego, oraz wystawa pszczelarstwa i ziemiopłodów, to jest jarzyn i owoców, połowa jej przeszło składała się z okazów przesłanych przez kobiety i dwa razy też odbyły się wiece niewieście dla wspólnej narady w przedmiocie, jaki procent zysku przynosi uprawa tego działu gospodarstwa kobiety? Zdaniem ogólnym było, iż ma ono miejsce ważne w domowym dobrobycie rodziny i może dać zarobek dobry, jeżeli rzecz jest umiejętnie i nieleniwie prowadzona, oparta na ścisłym obrachunku wkładów i zysków. Zakończeniem sprawy było rozdanie nagród i listów pochwalnych w tym oddziale, poczem nastąpiła uczta, na którą zaproszono wszystkich uczestników tego oddziału Cerery i Pomony, tak panów, jak panie, a liczba biesiadników razem wziętych obejmowała 1.200 osób, bo było zaproszonych wiele osób poza tą sferą, posłów i senatorów, i bankiet ten, jak tu się wyrażano, miał kosztować 30.000 franków.

Do rzeczy godnych wspomnienia należy wzniesienie pomnika pocięciu, pieśniarzowi ludowemu, Henrykowi de Veerd, przypominającemu charakterem swoich utworów naszego Lenartowicza. Poświęcenie pomnika odbyło się w d. 30-ym ubiegłego miesiąca, aktowi towarzyszyli reprezentanci akademii flamandzkiej i bardzo liczne zebranie publiczności, tak wielbicieli jego talentu, jak czczących w pocięciu ucziwego, szlachetnego człowieka. Według krążącej tu wieści miłość nieszcześliwa dla kobiety, której nie wolno było być

mu wzajemną—dla mężatki, stała się przyczyną śmierci. Umarł na suchoty; rzeźbiarz, który wykuł i omnik, uwieczniający jego pamięć, Franciszek Jorys, przedstawił go z ludowym narzędziem muzycznym w ręku, pośrednicząc między harfą a gitarą.

Zakończyć mi trzeba ten list rzeczą smutną i niespodziewaną, niewchodzącą w plan mojego do was listu, gdy go pisać zacząłem. Dzielnica Vieil Anvers, której festyn charakterystyczny usiłowałem wam odmalować, mogła być stać się rumowiskiem zgłiszczy i popiołu, zanim pióro moje zapełniło poświęconą temu opisowi ćwiartkę papieru. W dniu 8-ym bieżącego miesiąca już o schyłku dnia wybuchnął pożar, a że oprócz straży ogniowej, wojska i służby wystawowej biegł na ratunek kto tylko mógł, łatwo zrozumieć, ale ogień przy silnym wietrze rozszerzał się z przerażającą szybkością i sześć starożytnych kamienie stało się pastwą okrutnego żywiołu. Gdy wieść, gdzie się pali, rozeszła się po mieście starzy, młodzi biegli na ratunek, jak gdyby płonął własny dom każdego a dodać trzeba, że pawilony wystawy blizkie „Starej Antwerpii“ narażone były na wielkie niebezpieczeństwo, spłonęły domki, w których mieściła się kostiumowa garderoba korowodu, kosztująca blisko 26.000 franków. Ratowano z poświęceniem wielkiem; cały komitet wystawy, burmistrz miasta, bardzo wiele osób ze sfer wysokiej arystokracji brało tu udział, a do wielkich strat zaliczyć trzeba, że przy tej akeyi ratunkowej oddział szkolny niecierpiał bardzo, przy czem odznaczył się młodzieniec szesnastoletni z bogatej rodziny mieszczańskiej Emil Boyen, który z narażeniem życia ratował bibliotekę szkoły, mieszczańską starego dzieła, ceane rękopisma i związało się zgromadzenie pań z zamiarem uczczenia szlachetnego młodzieńca. Jakim będzie wyraz tej czci, doniosę wam w liście następnym.

F.

Półow perel.

Jakkolwiek w ciągu bieżącego wieku wartość perel ulegała wielokrotnemu obniżaniu, niemniej dotąd zalicza się perły do najszlachetniejszych i najrzadszych ozdób. Znany ten produkt muszli, tak jest wysoko ceniony, że na określenie jego wartości w każdym języku, to znaczy we wszystkich krajach dobiera się przymiotników w stopniu najwyższym. W czemże właściwie siła pociągająca i wdziek perły się zawiera? Perła nie jest przedmiotem wielkiego efektu, oddziałuje na patrzącego spokojnie, łagodnie, posiada niejako przyćmiony odblask tęczy, przez lekką mgłę przechodzący, jest jakby przeciwstawieniem dyamentu, który od razu błyszczy, tysiące iskier sypiąc w oko. Zdaje się jednak, iż właśnie ta dyskretność i w okazywaniu swoich przymiotów podnosi perłę w oczach ludzkich. Obok tego odblasku tęczy, zdaje się, że i forma jej zachwyca oko. Delikatne, łagodne zaokrąglenia przewyższają wszystko, co sztuka przy pomocy toczenia i polerowania otrzymać jest w stanie. Żadne obrobienie mechaniczne nie dorównywa temu długoletniemu tworowi natury,—wielu bowiem lat potrzeba, aby się utworzyła taka perelka.

Perły powstają u pewnego gatunku ostryg, żyjących w perłowych muszlach, pomiędzy tak zwanym płaszczem tego zwierzątka a jego skorupką.

Przyczyną utworzenia się perły jest zawsze jakieś ciało obce, najczęściej śmiały owad, który wtargnął do wnętrza muszli i spowodował wydzieliny perłowej materii naokoło ciała; niekiedy ziarno piasku, lub cząstka roślinna za ledwie widzialna, mogą być również tego przyczyną. Ślimak przez swoje życie całe przyczynia się do wzrostu tego nowotworu; dopiero ze śmiercią jego przestaje się rozwijać i wzrost perły. Wartościowa perła potrzebuje najmniej 6-ciu lat, aby dojrzeć. Wobec tego należałoby sądzić, iż

nie trudnem byłoby sztuczne produkowanie perel, należałoby tylko, przez wprowadzenie obcego ciała do wnętrza muszli, spowodować wytworzenie perły. Znany naturalista Linneusz przedstawiał perły się tą drogą osiągnięte i Chińczycy już dawno chwalą się posiadaniem tej sztuki, powodzenie jednak podobnej operacji zależnem jest od takiego mnóstwa pobocznych przyczyn, iż dotąd tą drogą osiągniętych perel w handlu prawie niema wcale. Jest bardzo dużo rodzajów muszli tak w słodkich wodach, i jak w morzach, które perły wartościowe produkują. Te jednak, które są przedmiotem handlu, czyste, pięknie uformowane i większe, jednym słowem szlachetniejsze perły morskie, tylko w południowych morzach są poławiane.

Zwykle rozróżniamy dwa gatunki perel: niemieckie i orientalne. Niemieckie, znajdują się w rzekach saskich i bawarskich, orientalne pochodzą z muszli w południowych morzach poławianych. Poławianie perel w rzekach niemieckich było niegdyś bardzo rozwinięte. W Saksonii dochód z połowu perel, w rzece Elsterze, prznosił dochód kopalni srebra. Od 1621 r. do 1888 r. łowiono w Elsterze perelki z dużym powodzeniem. Wydoskonalenie tego przemysłu bardzo długo z ojca na syna przechodziło w pewnej rybackiej rodzinie, nazwiskiem Schmezler. W ostatnich jednak latach łowienia perel w Saksonii zaniechano. Wprawdzie w 1891 r. nanowo się do tego wzięto, otrzymywano jednak dotąd tak mizerne perelki, iż nie pokrywają one kosztów podjętej pracy. Tym sposobem poławianie perel w Niemczech ustało prawie zupełnie gdyż i w Bawarii, tak przy ujściu Innu jak Ilzu, przy Passau, również przedsięwzięcie to nie pokrywa kosztów.

Upadek ten poławiacze przypisali szybkiemu rozrostowi mnóstwa fabryk na brzegach rzek powstałych, które zanieczyszczają wody swemi odpływami, co zgubnie na rozwój ślimaków wpływa,—nadto połow perel na morzach przybrał znów ostatnimi czasy tak szerokie rozmiary, że drobne perelki rzeczne do reszty straciły na wartości.

Głównem miejscem poszukiwania prawdziwych perel są wody oblewające wyspy: Ceylon, Jawę, Sumatrę, Japonię, zatoka Perska i wybrzeża Meksyku. Ztamtąd to przed 50-ciu laty pochodziły sławne orientalne perły. Z wynalezieniem dzwonnów i nowych przyrządów dla nurka, spadła cena perel na rynkach całego świata, zwłaszcza po odkryciu obfitych pokładów perłowych na pobrzeżach Kalifornii.

Był nawet czas, że perły przestały być modnymi. Atoli nowszy smak, skłaniający się ku stylowemu, we wszelakim zastosowaniu, upiększeniu, a najwybitniej ku stylowym ozdobom epoki Odrodzenia, przywrócił perłom ich poważne stanowisko w stroju, tak, że indyjska perła cenioną jest dzisiaj prawie na równi z dyamentem.

W ostatnim lat dziesiątku Australia przybyła do rzędu miejscowości, mających najobfitsze połowy perel.—Wody tamtejsze niesłychanie są bogate w perłowe muszle i poszukiwać tych bogactw może tam każdy, bez starania się o pozwolenie władz lub koncessyę.—Przedsięwzięciami bywają wszakże przeważnie biali, a używają tu ziemców jedynie jako nurków.

Przedsięwzięcy dzielą się na wielkich i drobnych. Ci ostatni posiadają zazwyczaj nieduży jakiś statek, wynajmują pewną liczbę czarnych nurków i wypływają z nimi o 2 lub 3 godziny od brzegów. Tu nurkowie, bez żadnych szczególnych przyrządów, spuszcza się z czółna. Przy największej nawet wprawie taki nurek nigdy nie może dłużej nad jedną minutę pozostawać pod wodą, zaczętem idzie, że poszukuje muszli tylko na płytszych wodach, wiadomo zaś, że dopiero na 80—100 stóp znajdują się muszle z większymi perłami. Pomimo braku pomocniczych przyrządów nurek nierzadko dochodzi do takiego zaharowania, że dziennie wyławia do 400 muszli.

Jest to jednak zajęcie nader ciężkie i bardzo nędźnie wynagradzane.

Nurków łatwo rozpoznać po włosach, które ciągle moczenie w słonej morskiej wodzie i suszenie na słońcu doprowadza do jakiegoś brudno-żółtawego koloru, co przy ich ciemnej skórze

odębnie wygląda. Drobnymi przedsiębiorcami i tak zwani „nadzy nurkowie“,—pozostają najczęściej do końca życia biedakami, chyba, że jakiś traf szczęśliwy napędzi w ich ręce nieoczekiwane bogactwo połów.

Lepiej nierównie dzieje się nurkom z dzwonem a właściwie z hełmem.—Ci mogą do dwóch godzin pozostawać pod wodą i zagłębiają się na 200 lub 300 stóp. Ubrani nurkowie są i pod tym względem szczęśliwsi, że ich nie zaczepiają rekiny, gdy tymczasem wielu nagich nurków pada ofiarą tych żarłocznych potworów. Największa liczba nurków przybywa z Singapore. Angielskie statki przywożą ich na brzegi Australii i zapatrują w żywność, albowiem tam, gdzie oni zakładają swoje stacje, nie rośnie nic i brak jest wszelkiej komunikacji z jakąkolwiek zamieszkaną częścią kraju. Stacją taką składają zwykle przenośne domki, rodzaj namiotów, jakiś nieco silniej zbity budynek, przeznaczony na skład narzędzi i żywności, a zakładaną bywa na ławach piaszczystych, które często, pod silniejszym wpływem morza, znikają. Nurkowie wyjeżdżają rano i wracają dopiero pod wieczór. Oprócz godziny, przeznaczonej na spożycie obiadu, przez cały dzień praca nie ustaje ani na chwilę.

Wiele przedsiębiorcy, których statki zaopatrzono są w doskonałe przyrządy, a nurkowie w dzwony i znakomicie obmyślane ubranie, nie przerywają połowu ani na jeden tydzień w roku, nadzy zaś nurkowie mogą pracować tylko przez najcieplejsze miesiące.

Często bardzo perłowe muszle stanowią zysk większy, niż znalezione w nich perły. Muszle dostarczają poławiaczom, że tak rzekę „Chleba powszedniego“ natomiast zyski z połowu pereł pod rubrykę: „szczęście“ winno być zapisane. Nieraz trzeba otworzyć 10 ton muszli, zanim się znajdzie jedną perłę, wartą 10 dolarów.

Drobne perełki, właściwie niejako zasiew na piętkę i wartościowe, sprzedawane bywają na wagę i są bardzo nisko cenione.

Statek poławiaczy pereł jest to zwykle silnie zbudowany żaglowiec, unoszący do dwudziestu ton ładunku. Załoga składa się z sześciu ludzi, nie licząc nurka. Najgłówniejszym obok nurka jest tu przewodnik, który opuszcza nurka i trzyma linkę.

Przybory nurka składają się: z hełmu z okienkami, ubrania nieprzemakalnego, zakońzonego ciężkimi oławianymi podszewkami dwóch lin: jednej mocnej, którą jest przepasany i za pomocą której daje sygnały, drugiej z otworem wewnątrz, czyli kieszki, przez którą, przy pomocy pompki znajdującej się na statku, dosyła potrzebne nurkowi powietrze.—Taka pompka jest przez doświadczonego człowieka obsługiwana i bywa zawsze pod nadzorem obok stojącego przewodnika. Przewodnik ma trudne i z odpowiedzialnością wielką połączone zadanie, od jego rozważliwej decyzji bowiem życie ludzi pod wodą. Musi mieć zwróconą bacznie uwagę na pogodę, na każdy raptowny powiew wiatru, lub zbliżającą się burzę, słowem na wszelkie zmiany atmosferyczne; musi bacznie, aby się nienarazić na zetknięcie z innym statkiem, a obok tego z nadzwyczajną troskliwością śledzić każdy sygnał nurka. Obie liny winien tak zręcznie trzymać, żeby nie tamowały ruchów pracującego pod wodą,—a znów nie nazbyt luźna, iżby się nie splątały, albo nie zawadziły o wystające krzewy koralowe.

Poławianie pereł odbywa się w następujący sposób: gdy nurek dosięgnie gruntu, żagle się składają i spuszcza się kotwicę, ale przeciwnie, to jest końcami do góry, aby się nie mogła zahaczyć. Spuszcza się bowiem kotwicę tylko dla tego żeby ciężarem swoim utrzymywała statek, nie

tamując wszakże powolnego posuwania się, ponad badaną powierzchnią gruntu. Podczas tego nurek posuwa się po dnie morskiem, obdziera trawę, na których wiszą muszle i napelnia zdobyczą worek, po napelnieniu którego daje znak, by go wzniesiono do góry.

Praca nurka, aczkolwiek ciężka, trudną wcale nie jest. Kilkorazowe, stopniowe spuszczenie się wystarcza, żeby się z nią obeznać. Trzeba mieć tylko trochę odwagi i zdrowe, wytrzymałe płuca.

Czytałam niedawno, w opisie Rosenthala-Bonin, opowiadanie o pewnym Niemcu, który wylądował wawszy na brzegach Australii i zwiędzając stacye poławiaczy pereł, sam został nurkiem.

Mając kilkaset dolarów w kieszeni i widząc innych, szukających bogactw na dnie morskim, zapragnął i on poprobować szczęścia.

Właśnie jeden z przedsiębiorców, szukał amatora na kupno swego żaglowca—po długim targu Niemiec nabył go, opatrzył i najął nurka.

Zgodził się, że mu zapłaci 100 dolarów za każdy miesiąc i 100 za każdą tonnę wyłowionych muszli.

Pewnego pięknego, pogodnego dnia wypłynęli więc na morze. Doświadczony, poważny Chińczyk obsługiwał pompkę, właściciel zaś żaglowca sam przyjął na siebie obowiązki przewodnika. Sądził wprawdzie, że obowiązki te będą o wiele łatwiejszymi, nie miał nawet przybliżonego pojęcia do jakiego stopnia taka ciągle natężona uwaga znużyć jest w stanie.

Naraz poczuł jak żaglowiec pochyła się raptownie na jedną stronę i poczyna się nieprawidłowo poruszać. Niepotrzebnie było długie dochodzenie przyczyny, w statku była dziura, nie pozostawało nic innego, jak tylko czempredziej wyciągnąć na wierzch nurka, i co tchu zawracać do brzegu.

Trwało dni 8, zanim zdołano sprowadzić jakiegoś cieślę i drugie dni 8 zanim naprawiono statek. Przez ten czas nurek, który otrzymał naprzód 50 dolarów, rozwinął w sobie niezmiernie upodobanie do jałowcowej wódki, wprowadzonej przez Holendrów, z wielkiem powodzeniem do wszystkich stacyj poławiaczy pereł. Daremnie szukano nurka przez dni trzy, wreszcie zniecierpliwiony Niemiec postanowił sam spróbować tego rzemiosła. Chińczyk był doświadczonego i rozważnym człowiekiem, jego więc wybrał na przewodnika, do obsługi pompki łatwiej już było znaleźć jakiegoś Malajczyka, których tu jest mnóstwo.

Ranek był pogodny i spokojny, nie było obawy co do żadnej zmiany powietrza. Skwapliwie poczęto czynić przygotowania do tej improwizowanej wyprawy; z pomocą Chińczyka przywdział Niemiec odzież nurka i spróbował kilka kroków postąpić,—co mu się jednak nie udało, bo nieprzywyktemu do dźwigania 20 funtowych ciężarów na trudno było nogi od ziemi odrywać.

Wypłynęli na morze i Niemiec dał znak Chińczykowi, żeby go spuścił. Opowiadał później, że mu się nader dziwnie około serca zrobiło, gdy zobaczył ponad sobą dno własnego statku. Szybko spadał coraz głębiej a woda stawała się coraz chłodniejszą. Nagle poczuł straszny szum w uszach, zamęt nie do opisania w głowie, olbrzymi ciężar przygniatający mu piersi i nie mógł wcale odetchnąć. Blizki omdlenia, dał sygnał alarmujący. Z chwilą jak głowa jego dotknęła powierzchni wody ustały wszystkie te zatrważające zjawiska.

Nie umiejąc wytłómaczyć sobie przyczyny, począł gniewać się na malajczyka, że mu zamalało powietrza dosyłał. Żółty człowiek objaśnił jednak, że właśnie powietrze winno być wszystkiemu, cisnąć bowiem zbyt silnie na uszy a raczej na bębni słuchowe, wywoływało ten straszny szum i zamęt. Malajczyk wskazał

w jaki sposób doświadczony nurek unika tej przykrości. Oto poprostu otwiera usta, wciąga powietrze, wydyma silnie policzki przez rozciągnięte mięśnie twarzy, czyniąc nacisk na organa słuchu, chroni je od uderzeń powietrza.

Po tej nauce Niemiec kazał się znowu spuścić i bez przeszkody dostał się do znacznej głębokości, gdzie znalazł kilka muszli. W tem, doznał wrażenia, jakby go ktoś wrzątkiem oblał, w zimnej wodzie gorąco mu było jak w piecu. Znowu więc nastąpił sygnał alarmujący i amator-nurek dowiedział się teraz od malajczyka, że owo gorąco powstało z powodu nieumiejętnego wydechania zużytego powietrza.

Spuściwszy się poraz trzeci, podróżnik nasz dotarł do jakiejś zaczarowanej krainy, która w nim zachwyty i niezmierny podziw wzbudziła.

Żadna, najbardziej rozbijała, najbogatsza wyobraźnia nie może nic podobnego stworzyć, ani sobie takich czarów przedstawić.

Olbrzymie czerwone, żółte i białe koralowe drzewa, wielkie jak poduszki szaro-zielone gąbki, wspaniałe nieznane na ziemi rośliny i krzewy, trawy długie na kilka metrów i szerokie jak wstęgi, delikatne, drżące, blade-różowe morskie anemony, łany całe przeróżnej wielkości gwiazd białych, ubarwione roślinkami wszystkich kolorów tęczy. A pomiędzy tą bajeczną roślinnością jakież dziwaczny świat zwierzęcy! Jakies kule mniejsze, większe, żółte, srebrne, zielone, czerwone, okryte kolcami jak jeże, potworne pająki, raki i nieprzebrana moc rozmaitych straszyle!

Upewniano wprawdzie śmiałego amatora podwodnej podróży, że rekin nie porywa się na nurków ubranych w hełmy, niemniej kiedy zobaczył zbliżające się żarłoczne to zwierzę, serce zamarało mu w piersiach i kolana ugięły się pod nim.

Obok tego niesłychanego bogactwa morskiej fauny i flory, jakie często depece nurek ślady rozbitych okrętów, pozostałości po tych nieborakach, którzy często w pogoni za szczęściem śmierć straszłą znajdują!

Pery bywają, stosownie do wielkości, na 7 gatunków rozdzielane, prócz tego bywają dobierane także i co do koloru.

Wielkie perły szacują względnie do barwy i kształtu, średnie i drobne sprzedają na wagę. Najgłówniejszym rynkiem dla pereł jest Paryż. Tam dostawiają najpiękniejsze i najrzadsze okazy. Żółtawe przeważnie wywożone są na wschód, ponieważ tam perły z tem ubarwieniem więcej są poszukiwane niż zupełnie białe.

W ostatnich czasach perły bardzo podniosły się w cenie, czy jednak piękna pani, na której białej szyi tak cudnie połyskuje ta niby skromna a tak kosztowna ozdoba, czy piękna pani pomyśli choć czasem: na ile trudów i niebezpieczeństw naraża się, często za marną opłatą, biedak, który ten strój z głębi morskiej wydobyl?

Z. S.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się powieść p. t. Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 14.

TREŚĆ: Uczenie zasługi, przez M. I. — Z bieżącej chwili. — Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z Antwerpii Selima. — Połów pereł.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 14-ty. — Przegląd mód.—28 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.